



### ■ Pierwsze 100 dni Trumpa w polityce zagranicznej

Jadwiga Kiwerska

Jest niepisaną tradycją amerykańskiego życia politycznego ocenianie prezydenta Stanów Zjednoczonych po pierwszych 100 dniach jego urzędowania w Białym Domu. Z reguły daje się nowemu prezydentowi ów czas, aby nie tylko zadomowił się w Gabinetcie Ovalnym, ale mógł zaprezentować główne kierunki swej polityki wewnętrznej i zagranicznej, jej charakter i priorytety, a przede wszystkim pokazać styl działania. W przypadku Donalda Trumpa owego spokojnego obserwowania pracy nowego prezydenta raczej nie było. Wynikało to z faktu, że 45. prezydentem Stanów Zjednoczonych został niezwykle kontrowersyjny miliarder z Nowego Jorku, którego wybór nie tylko był zaskoczeniem, ale przeraził wielu komentatorów zarówno w samych Stanach Zjednoczonych, jak i za granicą. Jego kampania wyborcza i padające wówczas zapowiedzi szczególnie niepokoiły świat zewnętrzny. Hasło „America First” czy stwierdzenia o przestarzałym charakterze NATO oraz potrzebie protekcjonizmu rodziły obawy o powrót amerykańskiego supermocarstwa do izolacjonizmu.

Z kolei brak doświadczenia wynikającego z działalności w strukturach państwa i obycia na arenie międzynarodowej budził niepokój, czy Trump poddał wyzwaniom, które świat stawiał przed nową administracją (m.in. terroryzm z jego najgroźniejszą emanacją - „Państwem Islamskim”, trwająca już blisko 6 lat wojna domowa w Syrii z jej różnorodnymi i groźnymi konsekwencjami, rosnące zagrożenie nuklearne spowodowane m.in. działaniami Korei Płn., ujawnione już z całą mocą neoimperialne aspiracje Rosji, czego najsilniej doświadczyła Ukraina, wymagająca potwierdzenia wagi relacji transatlantyckich i stosunków gospodarczych z Europą, *last but not least* konkurencja ze strony Chin). Niepokój świata zewnętrznego był tym bardziej uzasadniony, że amerykański prezydent posiada ogromną władzę w zakresie kształtowania i prowadzenia polityki zagranicznej - to on podejmuje decyzje. Tak więc dyletant w sprawowaniu

#### Redakcja:

Radosław Grodzki  
Jacek Kubera  
(redaktor naczelny)  
Piotr Kubiak  
Krzysztof Malinowski

#### Korekta:

Hanna Różanek

Nr 304/2017  
29.04.17

ISSN 2450-5080

Biuletyny dostępne  
także dzięki:  
NEWSLETTER IZ  
FACEBOOK  
SCRIBD  
LINKEDIN  
TWITTER

funkcji publicznych, pozbawiony wiedzy o świecie przejął władzę w państwie wyjątkowym, supermocarstwie o wielkiej odpowiedzialności i zobowiązaniach międzynarodowych. Siłą rzeczy stał się więc on liderem świata, decydującym o biegu wielu spraw.

Nie dziwi więc fakt, że z niepokojem i uwagą od początku obserwowano działania administracji Trumpa, nie szczędząc - wbrew tradycji - krytyki i ostrych ocen. Podstaw do nich nowy prezydent amerykański dostarczył wystarczająco dużo. Już kompletowanie ekipy i powoływanie w jej skład kontrowersyjnych postaci spotykało się z krytyką ekspertów zaniepokojonych o kierunek amerykańskiej polityki zagranicznej. Jednym z najbardziej kontrowersyjnych wysokich urzędników był emerytowany gen. Michael Flynn, który miał kierować Radą Bezpieczeństwa Narodowego (NSC), kluczowej, jeśli idzie o kształtowanie amerykańskiej strategii, instytucji. Od początku mówiono o dziwnych powiązaniach Flynn'a z przedstawicielami władz rosyjskich, co biorąc pod uwagę zatrącające o zachwyty wypowiedzi Trumpa z czasu kampanii wyborczej o Władimirze Putinie i Rosji, wywoływało zrozumiałe obawy, że Moskwa stanie się partnerem nr 1 nowej administracji. Wiadomo też było, że najbliższym doradcą Trumpa, mającym ogromny wpływ na nowego prezydenta, będzie Stephen Bannon, mianowany głównym strategiem Białego Domu oraz stałym członkiem NSC. Znany ze swych skrajnie konserwatywnych, a nawet szowinistycznych poglądów Bannon nazywał Unię Europejską „upadłą instytucją” i podkreślał, że administracja Trumpa zamierza raczej umacniać bilateralne relacje z poszczególnymi państwami Europy.

Zastrzeżenia komentatorów budziła także nominacja Rexa Tillersona na szefa dyplomacji. Zastanawiano się, jak na nowym stanowisku sprawdzi się biznesmen - prezes spółki *ExxonMobil*. Był to pierwszy przypadek od przynajmniej 100 lat, że sekretarzem stanu została osoba bez żadnego doświadczenia dyplomatycznego, politycznego czy wojskowego. Pytano więc, czy jego wcześniejsze, biznesowe powiązania z gospodarczymi i politycznymi kręgami Rosji nie będą miały wpływu na priorytety amerykańskiej polityki. Zaniepokojenie potęgował fakt, że po nominacji Tillersona bardzo wielu doświadczonych urzędników Departamentu Stanu zrezygnowało z pracy.

W takim zestawieniu jaśniejszym punktem był nowy sekretarz obrony gen. James Mattis, uchodzący nie tylko za bardzo kompetentnego i doświadczonego, ale mającego wyraźnie sprecyzowane poglądy na temat Rosji i zagrożenia wywołanego jej polityką. Należy podkreślić, że Mattis, w przeciwieństwie do wielu innych potencjalnych członków administracji Trumpa, szybko i bez problemów uzyskał akceptację Senatu, w tym także senatorów z Partii Demokratycznej. Z kolei sytuacja niemal bez precedensu, gdy to niecały miesiąc po nominacji gen. Flynn podał się do dymisji, zmuszony do tego przez ujawnione powiązania z Moskwą, a następnie Bannon został odwołany z NSC, generalnie podawała w wątpliwość trafność doboru członków ekipy nowego prezydenta. Natomiast powołanie w miejsce Flynn'a gen. Herberta R. McMastera, doświadczonego wojskowego o szerokich horyzontach intelektualnych, charakteryzującego się wyjątkową zdolnością myślenia strategicznego, wydawało się jedną z najlepszych decyzji Trumpa.

W każdym razie ekipa nowego gospodarza Białego Domu nie miała łatwego startu na arenie międzynarodowej. Z drugiej strony nie można zaprzeczyć, że w świecie, a szczególnie Europie niecierpliwie oczekiwano na pierwsze deklaracje i posunięcia nowej administracji. Zastanawiano się, które z wyborczych zapowiedzi Trumpa, zwłaszcza

tych budzących zaniepokojenie świata zewnętrznego zostaną podtrzymane, w jakich obszarach będzie można mówić o kontynuacji, gdzie nastąpi zasadnicza zmiana i w jakim będzie ona podążać kierunku.

W pierwszej kolejności szło o relacje transatlantyckie - ich fundamenty i trwałość. Areną, na której po raz pierwszy przedstawiciele nowych władz amerykańskich mieli okazję publicznie zaprezentować swoje zamiary, była renomowana Monachijska Konferencja Bezpieczeństwa, tradycyjnie odbywająca się w lutym w stolicy Bawarii (17-18.02.2017). Wiceprezydent Michael Pence wydawał się wiarygodny, gdy zapewniał „w imieniu prezydenta Trumpa”, że Stany Zjednoczone silnie wspierają NATO i „będą niezachwiane (*unwavering*) w swych zobowiązaniach wobec sojuszu transatlantyckiego”. Podobne zapewnienia padły z ust sekretarza obrony Mattisa, który niemal w tym samym czasie spotykał się z szefami resortów obrony państw członkowskich NATO. Mówił wówczas o „fundamentalnym” znaczeniu Sojuszu Atlantyckiego i trwałości amerykańskich zobowiązań wobec Europy.

Nie rozwiało to wielu wątpliwości związanych z realizacją tych zapewnień. Wiadomo, że decyzje finalne podejmować będzie prezydent Trump, którego kompetencje i przewidywalność nadal budziły i budzą zatroskanie. Tym większe znaczenie miała wypowiedź prezydenta, który w swym Orędziu o stanie państwa deklarował silne poparcie Stanów Zjednoczonych dla NATO (28.02.2017). Powtórzył to na spotkaniu z Jensem Stoltenbergiem, sekretarzem generalnym NATO, gdy przyznał, że nie uważa już NATO za strukturę przestarzałą („obsolete”), ale widzi jego znaczenie i potencjał (11.04.2017). Taka deklaracja z ust prezydenta Trumpa nieco osłabiła zaniepokojenie wśród europejskich sojuszników. Z drugiej strony było w tym coś niestetychanego, że trzeba było zapewnień w sprawie, która przez tyle dziesięcioleci pozostawała imperatywem amerykańskiego i europejskiego bezpieczeństwa - obecności i zobowiązań USA jako głównego filara NATO. Prosty efekt wcześniejszej retoryki Trumpa i niepewności co do jego zamiarów.

W obu jednak swoich wystąpieniach, niemal na jednym oddechu Trump silnie podkreślał, podobnie jak czynił to w kampanii wyborczej, że państwa członkowskie muszą zwiększyć swoje nakłady na obronność („pay their fair share”). A więc w kwestii *burden sharing* administracja Trumpa pozostaje nieugięta. I jakkolwiek temat to nienowoczesny, obecny w relacjach transatlantyckich niemal od lat 70. XX w., a i w okresie urzędowania Baracka Obamy wielokrotnie podnoszony, to uderza konsekwencja i ostrość stawiania go przez nową administrację. Do tego stopnia, że sekretarz obrony Mattis uzależnił skalę zaangażowania USA w obronę Europy od przedstawienia do końca roku planu, w jaki sposób państwa członkowskie zamierzają zrealizować zobowiązanie z 2014 r. przeznaczenia 2 proc. PKB na obronność (przypomnijmy - tylko 5 państw NATO, w tym obok USA także Polska, wywiązuje się z tego obowiązku). Szef *Pentagonu*, zwracając się do swoich kolegów z państw członkowskich NATO, mówił: „Americans cannot care more for your children’s future security than you do”. Cóż, trudno odmówić racji takiemu stwierdzeniu.

Do tej kwestii sam prezydent Trump powracał niemal przy każdej okazji (choć było ich jeszcze niewiele), gdy spotykał się z przywódcami państw europejskich. Tak też było podczas pobytu Angeli Merkel w Waszyngtonie (17-18.03.2017). Wśród wielu innych aspektów wizyty niemieckiej kanclerz u Trumpa, ten niewątpliwie dominował.

W swoim krótkim oświadczeniu, odczytanym podczas wspólnej konferencji prasowej, amerykański prezydent podkreślał, że wprowadzenie NATO pozostaje ważnym sojuszem dla Ameryki, ale jego państwa członkowskie muszą zwiększyć swe zobowiązania finansowe.

Zresztą wrażenie, jakie pozostawiło spotkanie kanclerz Merkel i prezydenta Trumpa, nie potwierdzało - przynajmniej na tym etapie - rangi i znaczenia stosunków amerykańsko-niemieckich w świadomości obecnego gospodarza Białego Domu (opinie tej nie zmienia nawet *tweet* prezydenta o spotkaniu, że był to „great meeting”; powtórzył to kilkanaście dni później w wywiadzie dla „Financial Times”). W przeciwieństwie do prezydenta Obamy, który uważał ją za swego najlepszego sojusznika, niemal spoiwo układu transatlantyckiego, mówił o partnerstwie amerykańsko-niemieckim, to prezydent Trump takich rewerencji kanclerz Merkel nie czynił. Można było mieć wątpliwości, czy potrafił docenić rangę Niemiec jako nieformalnego lidera Europy, rozporządzającego ogromnym potencjałem gospodarczym i politycznym. Wszak bardziej kordialnie odniósł się on do wcześniej odwiedzającej Waszyngton brytyjskiej premier Theresy May, rozpoczynającej właśnie proces *Brexitu*. Mogło to sugerować, że aktualne pozostają jego pełne lekceważenia, rysujące złe perspektywy dla Unii Europejskiej opinie z czasu kampanii wyborczej, a potem głoszone przez eksdoradcę Bannona.

Tymczasem wysiłek, jaki uczyniła Merkel, decydując się na przyjazd do Waszyngtonu i to pomimo wcześniejszych kąśliwych pod jej adresem uwag kandydata Trumpa (m.in. określił jej politykę wobec uchodźców jako „tragic mistake”), zasługiwał na docenienie. Gest ten oznaczał, że kanclerz Niemiec, niejako w imieniu wspólnoty europejskiej jest gotowa zrobić wiele dla utrzymania silnej więzi transatlantyckiej, ważnej nie tylko dla bezpieczeństwa europejskiego, ale i rangi Stanów Zjednoczonych. Dlatego w odróżnieniu od gospodarza podczas konferencji prasowej zaprezentowała globalne spojrzenie na sytuację międzynarodową, podkreślając, jak ważna w rozwiązywaniu problemów jest współpraca Ameryki i Europy. Jakże silnie kontrastowało to ze słabym intelektualnie i merytorycznie, skoncentrowanym na drobnych problemach wystąpieniu Trumpa - charakterystycznym zresztą dla większości jego wystąpień podczas spotkań z zagranicznymi gośćmi.

To, co jednak może zaskakiwać, gdy bilansujemy pierwsze 100 dni prezydentury Trumpa, to trzymanie ostrego kursu polityki wobec Rosji. Bo przecież wrażenia wyniesione z kampanii wyborczej, gdy to zapowiedź odbudowy relacji z Rosją była jedną z ważniejszych deklaracji Trumpa, na to nie wskazywały. Raczej należało się obawiać, że za cenę ustępstw wobec Ukrainy, a nawet bezpieczeństwa wschodniej flanki NATO dojdzie do „komitywy” między Trumpem a Putinem. Można było się też obawiać, czy nowy sekretarz stanu Tillerson (swego czasu odznaczony przez rosyjskiego prezydenta Orderem Przyjaźni i pozostający w bliskich relacjach z Igiorem Siciem, szefem koncernu naftowego *Rosneft*), dotąd zaangażowany w robienie interesów biznesowych, potrafi właściwie cenić wartości niewymierne, takie jak demokracja, prawa człowieka, wolność, aby nie stawiać ich jako artykułów wymiennych w prowadzonych negocjacjach dyplomatycznych. Tymczasem po 100 dniach urzędowania Trumpa w Białym Domu pojawiają się opinie, że stosunki amerykańsko-rosyjskie przypominają stan z okresu zimnej wojny. Może jest w tym trochę przesady, ale na pewno zamiast ocieplenia mamy we wzajemnych relacjach chłód.



W jakimś stopniu jest to efekt większej ostrożności nowej administracji w podejściu do Rosji, zwłaszcza w sytuacji, gdy padały coraz poważniejsze zarzuty o ingerencję Moskwy w amerykański proces wyborczy oraz podejrzane kontakty współpracowników Trumpa ze stroną rosyjską (*vide* Flynn). Ciosem dla ewentualnego zbliżenia Waszyngtonu z Moskwą było zbombardowanie na rozkaz Trumpa w nocy z 6 na 7 kwietnia 2017 r. syryjskiej bazy lotniczej. Była to reakcja na użycie przez reżim Baszara al-Asada broni chemicznej w zbuntowanym mieście Chan Szajchun - wśród ofiar było wielu cywilów, w tym dzieci. Atak amerykański był dla Kremla, zdecydowanie popierającego Asada i przekonanego, że wystarczająco silnie umocnił swe wpływy w Syrii, na tyle dużym wstrząsem, aby oskarżyć USA o łamanie prawa międzynarodowego (sic!) i powód do zaostrenia retoryki wobec administracji Trumpa. Niewątpliwie legła w gruzy - przynajmniej na czas jakiś - nadzieja Moskwy, że nowa administracja to nowe otwarcie we wzajemnych relacjach i być może nawet nowy podział wpływów.

Gdy więc kilka dni po amerykańskim ataku na syryjską bazę do Moskwy przybył z zapowiadaną wcześniej wizytą amerykański sekretarz stanu, nie sygnalizowało to „resetu” w relacjach, raczej stanowiło potwierdzenie woli nawiązania niezbędnych dla dwóch mocarstw atomowych kontaktów politycznych i próbę poznania stanowisk w sprawach najważniejszych. Tillerson nie miał zadania łatwego, bo - jak ktoś trafnie ujął - „elity polityczne w Waszyngtonie przez lupę będą się przyglądać wszystkiemu, co szef Departamentu Stanu powie i czego nie powie w Moskwie”. Chodziło o to, czy nie wezmą górę wcześniejsze powiązania Tillersona z rosyjskim biznesem lub na wynik rozmów nie będzie miał wpływu brak jego doświadczenia na polu dyplomacji. Sam fakt, że na poprzedzającym wizytę w Moskwie spotkaniu Tillersona z szefami dyplomacji państw G7 padło z jego strony pytanie, dlaczego Amerykańscy podatnicy powinni się troszczyć o Ukrainę, był groźny. Czy więc interes nie przeważa nad zasadami?

Można pokusić się o stwierdzenie, że w tym starciu Tillersona z szefem rosyjskiej dyplomacji, doświadczonym i sprytnym Siergiejem Ławrowem, amerykański sekretarz stanu nie poległ. Na pewno przełomu we wzajemnych relacjach na miarę wcześniejszych oczekiwań Moskwy i zapowiedzi Waszyngtonu nie było. I chociaż brak dostatecznie szerokiej wiedzy o przebiegu rozmów, to Rosjanom nie udało się wytargować ustępstw ani w kwestii Ukrainy, ani Syrii. Udało się jedynie rozpoznać wzajemne stanowiska i dotknąć najważniejszych problemów, zelżało też napięcie wywołane amerykańskim atakiem w Syrii. Nawet spotkanie Tillersona z Putinem niczego nie zmieniło.

Wydaje się, że na tym etapie stosunków między Kreml a nową administracją amerykańską czynnikiem ważącym była decyzja Trumpa o wystrzeleniu amerykańskich pocisków *Tomahawk* na syryjską bazę. Jakkolwiek nie można wykluczyć, że to posunięcie gospodarza Białego Domu podyktowane było względami wewnętrznymi - spadającymi sondażami poparcia lub wynikało z jego nieprzewidywalności i działania impulsywnego, czego dowodów w tych 100 dniach było wiele, zwłaszcza na *Twitterze*, to jednak trzeba też dostrzec jego pozytywne aspekty. Prezydent Trump okazał się bardziej zdecydowany i przynajmniej na krótką metę skuteczniejszy niż jego poprzednik. Syria jest tego najlepszym przykładem - Obama nie miał tej odwagi, aby

zrealizować w 2013 r. swą wcześniejszą zapowiedź, że w przypadku przekroczenia przez Asada „czerwonej linii” - użycia broni masowego rażenia, zareaguje militarnie. Pod tym względem Trump z pewnością zademonstrował większą odwagę w działaniu. I chociaż za atakiem na bazę lotniczą nie poszły żadne następne posunięcia, czy to polityczne czy militarne, które przybliżyłyby rozwiązanie konfliktu w Syrii, to jednak ta zademonstrowana gotowość do działania musiała wyrzeć wrażenie w Moskwie. W tym aspekcie nieprzewidywalność i emocjonalne podejście Trumpa do wyzwań okazały się przydatne - zbiły z tropu Putina.

Pytaniem pozostaje to, w jakim stopniu skuteczną i zdecydowaną okaże się administracja Trumpa w podejściu do Korei Płn. i rozwijanego przez reżim w Pjongjangu programu nuklearnego. Rozprawienie się z zagrożeniem nuklearnym ze strony Korei Płn. wymagać będzie z pewnością i talentów dyplomatycznych i determinacji, ale przede wszystkim działania przemyślanego. Czy ten test prezydent Trump zda, będzie można ocenić w następnych dniach jego urzędowania. Te pierwsze 100 dni w polityce zagranicznej nie rozczarowały, bo nie przewidywano wielkiego, pozytywnego przełomu, ale też nie spełniły się najgorsze scenariusze. Przynajmniej z naszej europejskiej perspektywy.

Tezy zawarte w tekście wyrażają jedynie opinie autora.

**Jadwiga Kiwerska** - prof. dr hab., pracownik Instytutu Zachodniego i Europejskiej Wyższej Szkoły Biznesu, historyk i politolog, specjalista w zakresie stosunków międzynarodowych, zwłaszcza polityki amerykańskiej.